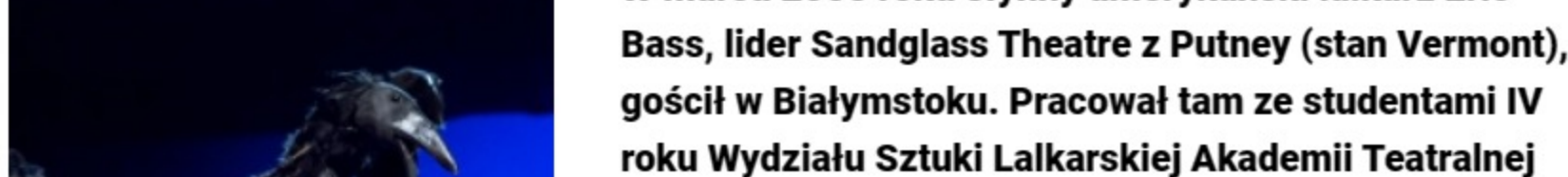


Znacie? No to słuchajcie!

Czarne ptaki, reż. Eric Bass, Teatr Animacji w Poznaniu



Juliusz TYSZKA

Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany, Teatrológ.

A A A



Fot. Jakub Wittchen

W marcu 2005 roku słynny amerykański lalkarz Eric Bass, lider Sandglass Theatre z Putney (stan Vermont), gościł w Białymstoku. Pracował tam ze studentami IV roku Wydziału Sztuki Lalkarskiej Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza nad dyplomowym przedstawieniem – *Rudzielcem* wg opowiadania Juleasa Renarda.

Zanim jednak doszło do premiery, Bass wielokrotnie przechadzał się po Parku Centralnym. „Po zajęciach w Akademii Teatralnej spacerowałem w parku obok teatru lalek – wspomina Amerykanin. – Nagle wszystkie czarne ptaki z drzew odleciały. Tego dnia rozmawiałem z kims o losach białostockich Żydów. W tym momencie zrozumiałem, że ptaki, które odleciały, to właśnie dusze tych ludzi, które zostały tu czekając na coś. Dla artysty granica między metaforą, fantazją a światem realnym jest bardzo cienka. W tych odlatających ptakach zobaczyłem Żydów, którzy zginęli w czasie Holocaustu” („Kurier Poranny” z 11.04.2012).

Ten moment natchnienia zaowocował dramatem *Czarne ptaki Białegostoku*, który Bass zainicjował niemal dokładnie siedem lat później w Białostockim Teatrze Lalek.

Znowu minęło kilka lat, ówczesny dyrektor BTL Marek Waszkiewicz objął tymczasem poznański Teatr Animacji, po czym namówił Bassa, by ten ponownie zrealizował ten spektakl w stolicy Wielkopolski. I tak, niemal dokładnie cztery lata i miesiąc po premierze białostockiej, doszło do poznańskiej premiery *Czarnych ptaków*. Zmiana tytułu jest uzasadniona, Bass zmienił bowiem swój tekst – akcja dramatu nie dzieje się już tylko i wyłącznie w stolicy Podlasia, lecz przenosi się z Białegostoku do Warszawy, a potem do Łodzi. Jednak fabularna kanwa jest wciąż ta sama: Henny – amerykańska tancerka żydowskiego pochodzenia przybywa do Białegostoku, by zrealizować projekt artystyczny z tamtejszym tancerzem Jankiem. W drodze z dworca na umówione miejsce przechodzi przez Park Centralny, gdzie jej uwagę przyciągają czarne ptaki, które czegoś wyraźnie od niej chcą. Okazuje się, że w ptasich ciałach zamieszkuje dusze zmarłych nagłą śmiercią Żydów i to właśnie one, właśnie w tej chwili upatrzyły sobie Henny jako osobę, której muszą opowiedzieć swe tragiczne historie, by Amerykanka poniosła je dalej w świat.

Poznańska inscenizacja *Czarnych ptaków*, pomimo zmian w tekście dramatu, nie różni się niemal w niczym od białostockiej. Nic w tym dziwnego – została zrealizowana przez ten sam zespół artystów. Trzy tragiczne historie z lat 1906, 1942 i 1968 opowiadane i odgrywane są przez aktorów oraz różne typy lalek, wspaniale zaprojektowane przez Słowaczkę Evę Farkašową oraz Polki Dąmę Żabską i Agnieszkę Polańską – dziełem tych ostatnich jest bardzo ciekawie oddający epickie tło tych opowieści teatr figur i cieni.

Czarne ptaki opowiadają Henny najpierw o białostockim pogromie (1906), sprowokowanym przez rosyjskich zaborców (reprezentuje ich Kozak strzelający do polskiego tłumu z okna), lecz dokonany przez Polaków, sugestywnie ukazany na scenie za pomocą środków „czarnego teatru” i na ekranie za pomocą teatru cieni. Na tymże ekranie wyświetlona jest pod koniec sekwencji liczba śmiertelnych ofiar pogromu: 80. Społeczność żydowską reprezentuje lalka rabina.

Potem przenosimy się do warszawskiego getta, w czas hitlerowskiej okupacji, sygnalizowanej przez ostro wybrzmiewające na początku przez chwilę szczekliwe niemieckie komendy. W tunelu pod gettem spotykają się dwie matki: Żydówka i polska handlarzka. Dzieci tej pierwszej głodują, ta druga – też dla dobra swoich dzieci – dyktuje Żydówce wysoką cenę za chleb. Potem na ekranie wyświetla się liczba warszawskich żydowskich ofiar: 300 tysięcy.

Kończąca sekwencja rozgrywa się w roku 1968, w łódzkim teatrze lalek, którego dyrektor dotąd ukrywał swe żydowskie pochodzenie. Ale mamy teraz pomarcową antysemitkę nagonkę, której scenicznym sygnałem jest fragment haniebnego przemówienia Władysława Gomułki. Prawda o żydowskim pochodzeniu artysty wychodzi na jaw. Dyrektor nie dokończy prób do przedstawienia o Janosiku – musi spakować się i wyjechać z Polski razem z rodziną. Na ekranie pojawia się liczba Żydów wygnanych w 1968: 40 tysięcy.

Precyzyjnie zakomponowane i zrealizowane przemieszanie lalkarskich konwencji (a każda z nich jest po mistrzowski ograna przez bardzo sprawną ekipę poznańskich aktorek i aktorów) stanowi niewątpliwie plus tego przedstawienia. Wrażenie robią zwłaszcza trzy parkowe drzewa, które nagle, niespodziewanie zamieniają się na oczach widzów w ogromne, czarne sylwetki ptaków. Ptaki wlatują w powietrze i gwałtownie wirując, osaczają zaskoczoną Henny (Julianna Dorosz), rozpoczynając w ten sposób sekwencję tragicznych opowieści.

Ciekawy jest zrealizowany w pierwszej części *Czarnych ptaków* pomysł lalkarskiej „opowieści szkatułkowej”, gdy duża lalka rabina animuje pacynkę, a w tle rozgrywa się epicki teatr cieni. Najciekawszym, a zarazem najefektowniejszym teatralnie i najbardziej poruszającym fragmentem spektaklu jest taniec Henny z lalką Żydówki z warszawskiego getta, animowaną przez dwie aktorki.

Cóż, czegoż innego jak wielkiej pomysłowości i sprawności można się spodziewać po światowej sławy lalkarzu, autorze wielu wspaniałych przedstawień, z objężdżającymi cały świat *Jesiennymi portretami* (1980) na czele?

Niestety, na tym dość komplementów, pora przejść do uwag krytycznych. Nie dotyczą one inscenizacji, scenografii czy lalkarskiej maestrii aktorek i aktorów, lecz treści tego spektaklu. Otóż jego fabuła jest zbudowana tak naiwnie i schematycznie, że gorzej być może już chyba tylko w szkolnym teatryku z podstawówki, którego instruktor otrzymał od zwierzchności zadanie zrobienia „czegoś tragicznego o losie polskich Żydów”. W przedstawionej nam fabule nie ma ani centymetra głębszej myśli, nie ma śladu ambiwalencji (koniecznej w prezentacji bardzo złożonych, niejednoznacznych moralnie historii oraz ludzkich postaw), nie ma wreszcie jasnego, trafiającego do widzów (zwłaszcza tych młodych) przesłania.

Eric Bass jest amerykańskim Żydem, mężem Niemki, wybitnym artystą, obywatelem świata. Obecnie jest mu zapewne szwiniem niektórych nowojorskich Żydów, którzy (to są moje osobiste „nauszne” doświadczenia) z lubością powtarzają przy każdej nadającej się okazji tezę o „polskim ludobójstwie” (pewna studentka New York University podczas zajęć z kultury żydowskiej w 1995 roku) lub twierdzą z niezbitą pewnością, że „każdy Polak wysysa antysemityzm z mlekiem matki”, jak dziennikarka Margaret Croyden wypowiadająca się o Grotowskim w czasie poświęconego mu seminarium na New York University w 90m roku 1993. (Niestety, nie zdążyłem jej odpowiedzieć, że we wredny sposób kłamie, bo 90% moich amerykańskich przyjaciół to Żydzi.) Cóż, nawet jeśli Bass jest daleko od tych nowojorskich klimatów, to jednak nieobecnie jest mu chyba, niestety, żydowsko-amerykańskie poczucie wyższości wobec ojczyzny jego przodków (babcią z Lublina, dziadek z okolic Warszawy). Tak przynajmniej sądzę po obejrzeniu jego dzieła w Teatrze Animacji. Bowiem wszystko, co napisał w swym dramacie, jest – powiedzmy łagodnie – w wysokim stopniu niewystarczające. Nawet jeśli ta wykonypowana w Białymstoku parkowo-ptasia, tragiczna metafora skłoniła go do wybiórczego zaprezentowania tylko i wyłącznie prześladowań, to mógł nieco głębiej wejść w charakterystykę skomplikowanych polsko-żydowskich relacji, wplątanych jeszcze (przynajmniej w najtragiczniejszych przywołanych przez siebie historiach z białostockiego pogromu w 1906 i warszawskiego getta w 1942) w siłła rosyjskiego zaboru i niemieckiej okupacji, których przemożna rola została w spektaklu zaznaczona w sposób zaledwie śladowy.

Nie chodzi mi tutaj bynajmniej o skrupulatną wierność wobec historycznych faktów – daleki jestem od krytykowania Bassa, że „nie tak było, jak napisał” (pewne podstawowe błędy i uproszczenia popełnione w tej mierze wytknął mu zresztą bardzo skrupulatnie przy okazji premiery białostockiej tamtejszy historyk Andrzej Lechowski), bo – podobnie jak przywołany tu przed chwilą reprezentant nauk historycznych – uważam, że amerykański artysta ma prawo realizować swoją wizję, która nie musi się pokrywać z faktami. Tyle że owa *licentia poetica* mogłaby zostać ucieleśniona z dużo większą starannością, skoro słynny lalkarz sam, z własnej, nieprzymuszonej (zakładam, że dobrej) woli zdecydował się wejść na to pole minowe żydowsko-polskich relacji.

Bass wyszedł z założenia, że Polacy, zwłaszcza młodzi, nie wiedzą nic albo bardzo mało o tym, że do czasów II wojny światowej żyło u nas kilka milionów polskich obywateli i obywateli narodowości (i przeważnie religii) żydowskiej. Więc postanowił tę naszą lukę w pamięci uzupełnić, pokazując jednak tylko i wyłącznie prześladowania Żydów oraz podkreślając fakt ich fizycznej eliminacji (pogrom 1906, ludobójstwo 1942, wygnanie 1968). Usiłował też wywołać u widzów coś na kształt moralnego kaca, każąc białostockiemu ptaństwu wspięły wywalać na koniec każdej sekwencji refren mówiący o tym, że zarówno Henny, jak i my powinniśmy to wszystko wziąć do siebie, chociaż urodziliśmy się na ogół już po przywoływanych w spektaklu wypadkach i możemy sądzić, że nas to wszystko nie dotyczy.

Tyle że zostało to zaprezentowane w sposób tyleż finezyjny formalnie, co szkitowy, pozbędny, niechlujny i balaganiarski w podstawowej sferze kompozycji scenariusza, narracji i demonstracji historycznych wydarzeń. Efekt jest taki, że starsi widzowie (np. ja) srodze się zrymają na takie przedstawienie faktów, natomiast widzowie młodzi, np. mój trzynastoletni syn i paru innych nastolatków odpytanych przeze mnie po spektaklu, ni w ząb nie rozumieją, o co w tym wszystkim chodzi.

Nie pomogło im z pewnością reżyserskie pokierowanie aktorstwem „żywego planu” – Julianna Dorosz, z którą mogłoby się pokoleniowo utożsamić, zagrała jakąś fajtapowatą turystkę, przez kilka minut mocującą się nieporadnie ze swym bagażem, a na koniec jej Henny oraz Janek (Igor Fijałkowski) odstawili bardzo dynamiczny taniec z figurami, zapewne na znak internacjonalistycznej przyjaźni polsko-amerykańsko-żydowskiej w duchu multi-kulti. I nic nie wskazywało na to, żeby szczerza, „po amerykańsku” (jakże stereotypowo!) otwarta i naiwna Henny zapamiętała cokolwiek z ponurych historycznych wypadków, tak sugestywnie przed chwilą dla niej odegranych – a na tym przecież zależało zamieszkałym w czarnych ptakach żydowskim duszom.

Tymczasem my-starsi mamy za sobą nie tylko obejrzenie *Austerii*, *Listy Schindlera*, *Pianisty*, *Pokłosia*, *W ciemności*, *Idy* czy choćby tylko nawet *Ziarna prawdy*, lecz także (zapewne mniej liczni) targające narodowym sumieniem przeżycie mordu w Jedwabnem oraz lekturę książek Grossa. I już doskonale wiemy, że podczas wojny aktywni byli nie tylko Senderowa i Bartoszewski, lecz także różnielni polscy oficerzy, cieszący się z „odpłuskwienia” ojczyzny, no i całe zastępy szmalcowników; wiemy też, jakie budynki mijamy w Poznaniu na Wroneckiej czy u zbiegu Grunwaldzkiej i Bukowskiej; wiemy też, w czyich warszawskich domach zamieszkał nasi dziadkowie, uciekający przed wojną z Pomorza czy Wielkopolski – nie trzeba nam tego na każdym kroku przypominać.

W 2013 otwarto z hukiem w Warszawie Muzeum Historii Żydów Polskich, z wystawą główną piękną zaprojektowaną przez nowojorską performatyczkę Barbarę Kirshenblatt-Gimblett. Z jej ust słyszałem wielokrotnie narzekanie na smutną prawidłowość: kilkaset lat wspólnej polsko-żydowskiej historii ogranicza się najczęściej w oficjalnych dyskursach – politycznym, naukowym, artystycznym – do pogromów, prześladowań i tragedii. Jej ojciec, śp. Mayer Kirshenblatt (urodzony w Opatowie, skąd wyjechał do Kanady w roku 1957) powiedział mi w 1993 roku (po polsku), że stosunki polsko-żydowskie są jak ucięta ręka – już jej nie ma, ale wciąż boli.

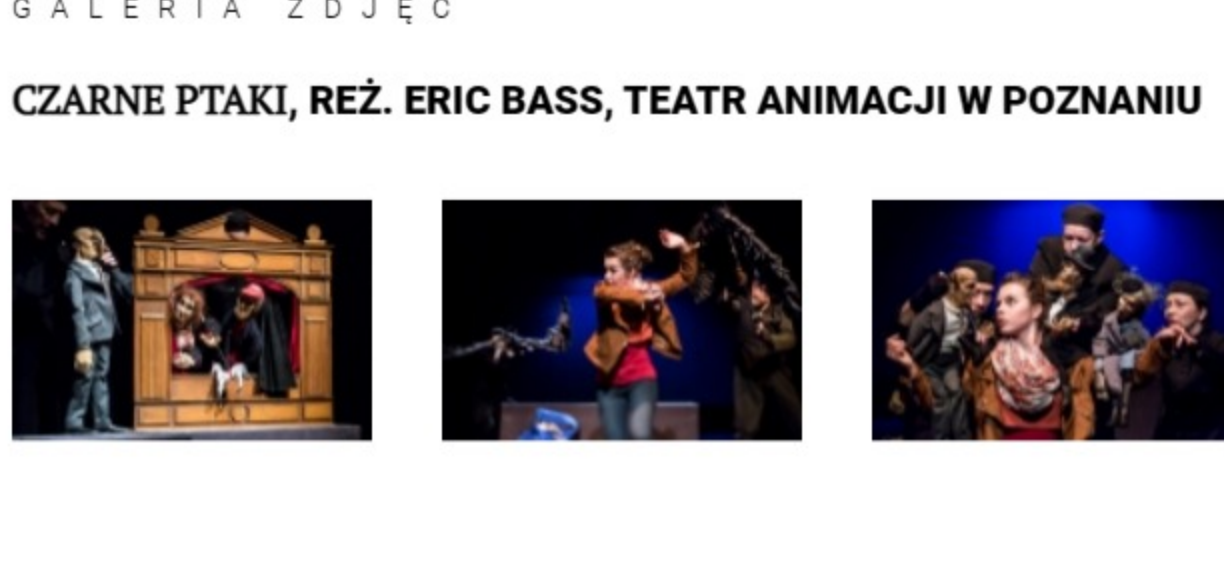
Zgadzam się z wypowiedzianą przez Erica Bassa w kilku wywiadach opinią, że każde podjęcie dialogu w tej kwestii to cenna inicjatywa. Mam tylko wątpliwość, czy po takim spektaklu jak *Czarne ptaki* nie trzeba by dyskusji zacząć od rozlicznych doprecyzowań, dopowiedzeń, uzupełnień i komentarzy. Niestety, po jego obejrzeniu mój ból po tej uciętej ręce zdecydowanie wzrasta, a do tego bólu dochodzi jeszcze przysłowiowy ból zębów. Nie dlatego, że czuję się winny za postawę amerykańsko czy za własną ignorancję, tylko dlatego, że znowu dane mi było się natknąć na amerykańsko-żydowskie poczucie wyższości oraz arogancję.

P.S. W grudniu 2015 roku odbyła się w gnieźnieńskim Teatrze im. Fredry premiera polsko-żydowskiej komedii *Hotel pod wesołym karpiem*. Autorem jej tekstu i reżyserem przedstawienia jest młody nowojorski Żyd Joseph Hendel, który farsowo wykrzywił i obśmiewa wszystko i wszystkich, ostro „jadąc po bandzie” i bezlitośnie łamiąc wszelkie stereotypy. Jego bohaterowie są ludźmi z krwi i kości. Wymykają się schematom, żyją swoim, jakże realnym życiem. Przywołany przez Bassa w jednym z wywiadów jako przykład polskiego, podszytego rzyzmem ulegania stereotypom Żyd z monetą „na szczęście” u Hendla ożywa i z rabinacką (mocno przy tym złośliwą) mądrością komentuje niesamowite Leszczeńskie wypadki. Najciekawszą postacią *Hotelu pod wesołym karpiem* jest natomiast niejaki Leszek – antysemita i żydożerca pokryty nacjonalistyczno-polskimi tatuażami, który po odkryciu, że jest Żydem, i po owocnej służbie w armii izraelskiej zajmuje się teraz ściąganiem i biciem w mordkiem i naiwnością klimaciku dzieła Bassa!

31-08-2016

GALERIA ZDJĘĆ

CZARNE PTAKI, REŻ. ERIC BASS, TEATR ANIMACJI W POZNANIU



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr Animacji w Poznaniu

Eric Bass

Czarne ptaki

reżyseria: Eric Bass

współpraca artystyczna: Ines Zeller Bass

scenografia: Eva Farkašová, Dagmara Zabska, Agnieszka Polańska

muzyka: Miamon Miller

choreografia: Shoshana Bass

obsada: Julianna Dorosz, Sylwia Cyris, Elżbieta Węgrzyn, Krzysztof Dutkiewicz, Igor Fijałkowski

premiery: 12.05.2016

TAGI: [Eric Bass](#), [Poznań](#), [Teatr Animacji](#),

[Udostępnij](#)

S K O M E N T U J

Autor lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

dwa plus trzy jako liczbę:



K O M E N T A R Z E (0)